

Marcin Jamiołkowski

ORDER



Marcin Jamiołkowski "Order" - fragment

MAT

Wyścigi konne pasjonowały mnie, odkąd pierwszy raz pojawiłem się na warszawskim Służewcu. Niestety, pasja ta objawiła się w zgubny sposób: w postaci hazardu.

Ojciec lubił patrzeć na ścigające się konie. Zabrał mnie ze sobą na tor, kiedy miałem czternaście lat. - To miejsce przypomina mi o twojej matce, Herbercie. Często tu bywaliśmy. Zwykle stawaliśmy o tam, pod samą bombą. - Machnął ręką w stronę okrągłego budynku, na szczycie którego pyszniła się czerwona kula. - Kiedy ta kula, bomba właśnie, jedzie do góry - na szczyt masztu - rozpoczyna się wyścig. W maszynie startowej, w której stoją konie, otwierają się drzwi i rusza gonitwa. Stąd powiedzenie „bomba w górę”.

Kiwnąłem głową i rozejrzałem się, zafascynowany. Staliśmy przy padoku, wokół którego przed każdą gonitwą oprowadzano konie. Niektóre były spokojne, wręcz majestatyczne, a inne parskały nerwowo. Piękny wierzchowiec o ciemnym, wręcz czarnym umaszczeniu zarżał i na chwilę stanął na tylnych nogach. Prowadzący go młody chłopak zaczął uspokajać zwierzę. Klepał konia po szyi i coś do niego mówił.

- Wiedzą, że zaraz będzie wyścig i denerwują się, zupełnie jak ludzie - powiedział ojciec. Konie zostały sprowadzone z padoku i po kolei dosiadali ich jeźdźcy. Jakże oni byli mali! W kolorowych kurteczkach i czapkach przypominali krasnale.

Powiedziałem to ojcu. Roześmiał się.

- Są drobni, bo muszą ważyć jak najmniej.

Coś jeszcze mi tłumaczył, ale ja już pobiegłem w stronę toru. Dogonił mnie dopiero przy ogrodzeniu.

- Popatrz, teraz jadą spokojnie, nie męczą koni. Ustawią się w maszynie, tam, po drugiej stronie toru. Kiedy konie ruszą, będą biegły w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Inaczej niż na przykład we Wrocławiu, gdzie wyścig odbywa się w drugą stronę, czego przyczyną jest...

Znowu nie słuchałem, usiłując znaleźć dogodną pozycję, bo właśnie przede mną wepchnęła się pani w wielgaśnym kapeluszu, przesłaniając mi wszystko.

- Chyba nie powinienem... - powiedział ojciec. - Ale może chcesz postawić na któregoś konia?

- To znaczy zgadywać, który wygra? - zapytałem. - Skąd mam to wiedzieć? Jest ich tu chyba z dziesięć.

- Dokładnie dwanaście - odrzekł ojciec, zaglądając do małej, zielonej książeczki, którą ścisnął w rękę. - Może wybierz tego, który najbardziej ci się spodobał. Albo jakiś szczęśliwy numer. A może imię konia.

Zajrzałem mu przez ramię i przeczytałem informacje o zbliżającej się gonitwie.

Na dwóch stronach, w tabelce, rozpisano numery startowe koni, ich imiona, nazwiska dżokejów, właścicieli i trenerów oraz serie liczb i dat, które określały wyniki koni w poprzednich wyścigach.

Wszystko to było dla mnie wtedy czarną magią. W przenośni, rzecz jasna.

Uśmiechnąłem się, czytając dziwaczne imiona koni.

Lucky Fury, Nikodem, Przebieraniec... Nie miałem pojęcia, co wybrać. Zdecydowałem się na swojsko brzmiącego Warszawiaka z numerem czwartym.

Chciałem wydębic od ojca parę złotych, ale powiedział, żebym skorzystał z własnych oszczędności.

- Powiedz, że chcesz zagrać czwórkę z góry - krzyknął jeszcze za mną.

Zdażyłem w ostatniej chwili. Ścisnąc w rękę bilet, wróciłem do ojca w chwili, kiedy z głośników rozległ się okrzyk komentatora:

- Rrrruszyły!

Z daleka konie przypomniały małe figurki z plasteliny. Z zazdrością popatrzyłem na wyposażonych w lornetki sąsiadów, którzy mogli obserwować, co dzieje się po drugiej stronie toru.

- Spokojnie - powiedział ojciec, kładąc mi dłoń na ramieniu. - Wszystko rozegra się na finiszu.

Widzisz to tutaj? To się nazywa celownik. Tu będzie koniec wyścigu.

Konie wyłoniły się zza zakrętu. Zbliżyły się bardzo szybko, w niektóre jakby wstąpiła dodatkowa, nadnaturalna siła. Szyk – czy, jak ojciec powiedział, stawka – wymieszała się i na czoło wysunął się kary ogier – ten sam, który tak pięknie stawał dęba na padoku. O ile pamiętałem, był to numer szósty.

Komentator darł się, podekscytowany:

– Prowadzi szóstka, Welur, za nim Amarant, Raban i Miron!

A gdzie mój Warszawiak?

Spiker jakby czytał mi w myślach, bo ryknął:

– Za nimi Warszawiak wyprzedza Mirona w pięknym stylu, jakby wiatr go niósł, i mija Rabana.

Prowadzi Welur.

I po chwili:

– Welur, Warszawiak, Amarant, Raban! Warszawiak już prawie łeb w łeb z Welurem, ostro finiszuje Warszawiak, Welur słabnie, jakby spalił się za wcześnie, Miron próbuje jeszcze wyprzedzić Rabana, Warszawiak po zewnętrznej, i wpadają: Warszawiak, Welur, Amarant i Raban...

Spojrzałem na ojca.

– Wygrałem? Tak? Wygrałem?!

Ojciec nie wyglądał na szczególnie zadowolonego.

– Na to wygląda...

– A coś ty taki smutny?

– Bo chciałem, żebyś przegrał.

Popatrzyłem na niego i wydałem usta.

– Nie dlatego, że w ciebie wątpię, ani nie z zawiści – zaśmiał się mój staruszek. – Chciałem tylko, żebyś przegrał pieniądze, żebyś zniechęcił się do hazardu. No, może pozwolić ci zagrać to nie był najlepszy pomysł. Zadziałało szczęście początkującego.

– No to ile wygrałem?

– Nie wiem, nie widziałem prognoz. Zaraz ogłoszą. Wiesz, jak to działa? Wszystkie wpłacone pieniądze są wliczane do jednej puli. Następnie – w dużym uproszczeniu – pulę odpowiednio się rozdziela pomiędzy wygrane bilety i wypłaca.

Postaliśmy chwilę i ruszyliśmy w stronę padoku. Po drodze ojciec zaciągnął mnie w stronę rusztu, gdzie serwowano kielbaski.

Spiker odchrząknął z głośnika i powiedział:

– Podaję zatwierdzone wyniki gonitwy drugiej: miejsce pierwsze – koń numer cztery, Warszawiak.

Miejsce drugie – koń numer sześć, Welur...

– Wygrałem?

– Tak. Słuchaj!

– ...podaję wypłaty za gonitwę drugą – zwyczajnie: sto osiemdziesiąt dwa złote i czterdzieści groszy, porządek: czterdzieści sześć złotych i trzydzieści gorszy...

Słuchałem tego bełkotu przez chwilę, nic nie rozumiejąc, i w końcu zapytałem ojca:

– Dobra, to ile wygrałem?

Ojciec był zdruzgotany:

– Obstawiałeś z góry, czyli inaczej zakład zwyczajny.

– Ile tam było? Jakies sto osiemdziesiąt złotych?

– Tak, płacone za jedną złotówkę. Ile kosztował twój zakład? Cztery złote? No to płacą ci cztery razy sto osiemdziesiąt.

Dla chłopaka w moim wieku? Majątek! Patrzyłem na ojca radośnie, a on tylko pokręcił głową.

– Niech to lichu, Herbert, wybrałeś jakiegoś straszego fuksa.

– Co to fuks?

– Koń, na którego stawiał mało kto. Wielu grających stawia na faworyta – czyli konia, który ma największe szanse na wygraną. A ponieważ takich ludzi jest dużo, to i wypłaty są odpowiednio mniejsze. Na Warszawiaka stawiało niewiele, zatem ta kwota jest proporcjonalnie większa. Co mnie podkuśliło? Chciałem ci przyłożyć na koniec jakimś dydaktyzmem, w rodzaju „nie za to ojciec syna bił,

że grał, ale za to, że chciał się odegrać”. A teraz...

Ale ja już biegłem w stronę kasy.

- Stawiam kielbaski! - krzyknąłem jeszcze.

Była niedziela, koniec pierwszego tygodnia października. Udało mi się zająć stolik tuż pod trybuną. Na szczęście pogoda sprzyjała - nienawidziłem, kiedy podczas wyścigów padało. Właśnie skończyła się ósma gonitwa, ogłoszono wyniki i byłem kilka stówek do przodu. Zagrałem czwórkę - czyli udało mi się wytypować cztery konie z rzędu, wpadające na celownik. Spojrzałem jeszcze raz na bilet: 6-4-5-8, czyli Datsun, Bombonierka, Sugarpine, Acer.

Te parę setek, plus to, co zdobyłem na kwincie - a tu już było parę tysięcy - pozwoli mi zatkać dziurę budżetową na jakiś czas.

Wspomniałem z rozrzewnieniem ubiegły tydzień. Akurat odbywała się Wielka Warszawska - najważniejsza i najbardziej prestiżowa gonitwa sezonu, rozgrywana po raz dziewięćdziesiąty dziewięć. Za rok pełna setka, pewnie będzie się działo! A na tej zarobiłem porządne pieniądze. Dzisiaj pozostała jeszcze jedna gonitwa, której już nie obstawiałem. Zawahałem się, czy iść po odbiór wygranej teraz, czy poczekać na dziewiąty wyścig i przyjść na zamknięcie kas. Zdecydowałem się poczekać, miałem czas.

Słońce o tej porze chyliło się ku zachodowi, a zimny wiatr sygnalizował jasno, że nadciągała jesień i że trzeba się było cieplej ubrać. Kolorowy tłum wpełzał i wypełzał z kas. Kapelusze i garnitury mieszały się z dżinsami, koszulkami, żakietami i sukienkami. Uwielbiałem to miejsce.

Wspomnienie o ojcu, które mnie nawiedziło, miało ten sam posmak - wspólnoty w anonimowym tłumie.

Nielegalny bukmacher minął mnie i skinął głową. Odpowiedziałem tym samym. Znali mnie dobrze, ale nie chcieli przyjmować moich zakładów, odkąd jednego z nich grubo trafiłem. Pozostał mi tylko oficjalny totalizator.

Z drugiej strony stolika przysiadł się starszy mężczyzna. Na moje oko miał ponad osiemdziesiąt lat.

- Można? - zapytał, sadowiąc się wygodnie i ocierając czoło pasiastą chusteczką. Nie było aż tak ciepło, raczej spacer musiał go zmęczyć.

Kiwnąłem tylko głową.

Staruszek pokazał palcem w niebo.

- Będzie padać. Jaskółki nisko latają.

- To jerzyki - odpowiedziałem. - Jaskółki nie żyją w miastach. To są jerzyki, podobne do jaskółek, ale nie mają jasnych brzuszków.

- Jest pan ornitologiem?

- Nie, krawcem. W stanie spoczynku.

- To tak jak ja.

- Też jest pan krawcem? - zdziwiłem się uprzejmie.

- Nie, w stanie spoczynku.

- Wojskowy?

Pokiwał twierdząco głową.

- Co pan sądzi o wyścigu? - zapytałem.

Staruszek pomachał ręką, jakby odcinając się od całego zamieszania, które nas otaczało.

- Nie znam się na tym, nigdy jakoś mnie to nie ciągnęło. Pan stały bywalec?

- Ostatnio bywam nawet zbyt często - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - Co w takim razie pan tu robi? W pana wieku - proszę się nie obrazić - dostanie się tu, na tor, wymaga sporo determinacji. A tej nie brakuje wyłącznie nałogowcom.

Roześmiał się sucho.

- Szukam kogoś. Być może pan, skoro tak często tu bywa, będzie w stanie mi pomóc.

- Być może.

Do tej pory byłem zwrócony do niego bokiem. Teraz przestawiłem krzesło tak, aby patrzeć mu w twarz. Nosił długi szary płaszcz, spod którego wystawał kołnierzyk jasnej koszuli i węzeł ciemnego, prążkowanego krawata.

Nerwowym gestem zdjął okulary, a potem włożył je z powrotem na nos.

- Szukam mężczyzny, który nosi jedną rękawiczkę. Tyle mogę panu powiedzieć. Wiem, że to niewiele. Pytałem różnych ludzi i każdy patrzy na mnie jak na wariata.

Czekałem bez słowa, zastanawiając się, czy udawać, czy może zagrać w otwarte karty. Mężczyzna nie wyglądał na groźnego, ale od kilku miesięcy w Warszawie nie wszystko, co wyglądało niegroźnie, rzeczywiście takie było. Chociażby trujące nasturcje, które porosły całkiem niedawno plac Defilad. Zrywasz taką ślicznotkę, wachasz i bach - nie ma cię. Miasto się zmieniło.

Przeze mnie.

- Znalazł pan go - powiedziałem, wyciągając prawą rękę, na której nosiłem beżową skórzaną rękawiczkę. Metaliczno-brązowy kolor mojej dłoni budził zbyt powszechne zainteresowanie, dlatego ją ukrywałem. Pytania zwykle zbywałem zmyśloną historyjką o poparzeniach.

Staruszek potrząsnął moją ręką z werwą.

- Tak się cieszę, tak się cieszę - wymamrotał. - Nie ma zbyt wiele czasu.

- Zbyt wiele czasu na co?

Znowu otarł czoło chusteczką.

- Szukamy pana od kilku dni. Prezydencki astrolog wskazał, że można pana będzie znaleźć tutaj.

Według przeprowadzonych przez niego obliczeń...

- Czy powiedział pan „prezydencki astrolog”? - przerwałem niegrzecznie. - Chce pan powiedzieć, że pani prezydent Warszawy zatrudnia astrologa?

- Nie, nie prezydent miasta. Prezydent Rzeczypospolitej.

Jeszcze pół roku temu parsknąłbym śmiechem. Jednak czasy się zmieniły i być może nasz rząd nadał za zmianami.

- Proszę mówić dalej.

- Nazywam się Zygmunt Bieniawski. Pułkownik Wojska Polskiego w stanie spoczynku. Jestem... - nabrał powietrza - zastępcą Kanclerza Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari.

Przymknąłem oczy, żeby przetrwać tę przydługą nazwę i powstrzymać się od głupiego komentarza.

- Ostatnio musieliśmy się skonsultować w pewnej bardzo szczególnej sprawie. Spotkanie Kapituły odbyło się trzy dni temu. Astrolog wskazał na pana - wyrzucił z siebie chaotycznie.

- A może tak od początku? - poprosiłem. - Trochę się zgubiłem.

- Już, już. - Staruszek westchnął, jakby się uspokajając, i ciągnął:

- Jak pan być może wie lub nie - z niewiadomych przyczyn nie jest to wiedza powszechna, aczkolwiek nieobjęta tajemnicą - miasto Warszawa zostało odznaczone orderem Krzyża Srebrnego Virtuti Militari.

- Miasto?

- Tak, miasto. Nie jest to przypadek odosobniony, również swego czasu Lwów został odznaczony takim orderem przez Marszałka Piłsudskiego, w 1922 roku.

Gestem ponagliłem pułkownika, ale mnie zignorował.

- W listopadzie 1939 roku, w hołdzie bohaterskiej stolicy, Naczelnny Wódz, generał Sikorski, nadał Krzyż Srebrny piątej klasy Warszawie. Na mocy jego zarządzenia do herbu miasta włączony został sam krzyż, na wstążce orderowej, wraz z gałązkami lauru oraz wstęgą, na której widnieje łacińska sentencja „Semper invicta”.

- Zawsze niezwyciężona?

- Tak jest. Otóż na zwykłym herbie nie znajdzie pan takich dekoracji, ale decyzją Rady Miasta z 2004 roku udekorowano w ten sposób Herb Wielki Warszawy. Może on być używany wyłącznie przez władze miasta i tylko przy okazji ważnych uroczystości.

Zaciekawiał mnie. Nie wiedziałem, że ordery można nadawać miastom, o herbie też nie wiedziałem.

- Otóż popularną do tej pory, hm... - zawahał się - reprezentacją Orderu wraz z inskrypcją, upamiętniającą męstwo obrońców, jest tablica pamiątkowa umieszczona przy skwerze Kahla. Tak to

wygląda oficjalnie. Mniej oficjalnie – i to już informacja tajna, panie...

– Herbercie – dokończyłem. – Nazywam się Herbert Kruk.

– A więc, panie Herbercie, to już informacja poufna. Większość ludzi zna Krzyż nadany miastu jedynie pod postacią wspomnianej już płyty przy skwerze. Ci bardziej świadomi wyobrażają sobie jakiś akt prawny czy ustawę. Tak się jednak składa, że Krzyż Srebrny Virtuti Militari Miasta Warszawy przechowuje Kapituła Orderu. A właściwie to przechowywała. Został skradziony trzy dni temu. Czy wie pan, co to oznacza? – Znowu otarł czoło chusteczką; wyglądał na bardzo podenerwowanego. Poruszał ustami, jakby chciał mówić dalej, ale nie mógł złapać oddechu. Kiwnąłem głową niepewnie, ale potakująco.

– Niech pan pozwoli, że zacytuję okolicznościowe przemówienie generała Sikorskiego:

W uznaniu bohaterskiego, wytrwałego męstwa dowiedzonego przez ludność stołecznego miasta Warszawy w obronie przeciw najazdowi niemieckiemu, w zgodzie z uchwałą Rady Ministrów R.P. z dnia 9 X 1939 r. nadaję Krzyż Srebrny Orderu Wojennego „Virtuti Militari” V klasy miastu stołecznemu Warszawie.

– Tyle źródła oficjalne. Ale kapituła przechowuje pozostałą część przemówienia:

Niechaj żaden wróg, czy wewnętrzny, czy zewnętrzny, nie zakłóci spokoju tego miasta, póki Krzyż mu nadany spoczywa chroniony w jego granicach.

Rozpoznałem tę formę zaklęcia, sam przecież stosowałem podobne. Krzyż, jeśli rzeczywiście istniał, tak jak mówił pułkownik, był amuletem ochronnym. A generał Sikorski był magiem wystarczającego sortu, by ochronić miasto, tworząc takie zabezpieczenie. Jeśli ktoś skradł tak cenny dla miasta ochronny artefakt, to w jednym celu: żeby je osłabić.

Coś się szykowało.

– Krzyż dotarł do Warszawy w 1946 roku. Od tego czasu Order przechowują w siedzibie Kapituły kolejni Kanclerze. Niestety, jak wspominałem: skradziono go trzy dni temu. Konwencjonalne śledztwo nie przyniosło dotąd rezultatów, stąd nasza prośba do pana, panie Herbercie. Chcemy, żeby zajął się pan odszukaniem Orderu.

– A jakie honorarium przewiduje Kapituła za odnalezienie zguby?

– Honorarium! – aż się zachłysnął. – Przecież mówiono mi...

Urwał i popatrzył na mnie urażonym wzrokiem.

– Oczywiście – dodał po chwili. – Każdy musi jeść. Ile pan chce?

– To nie tak, nie chcę pieniędzy.

Wzrok pułkownika złagodniał trochę. Chyba jednak zrewidował swoją opinię o mnie.

– Zatem?

– Jeśli uda mi się odnaleźć Order, chcę, aby ten prezydencki astrolog, który tak pięknie was do mnie doprowadził, odszukał dla mnie pewną osobę.

Bieniawski zamyślił się i pokiwał głową.

– To bardziej przysługa niż zapłata, panie Herbercie. Myślę, że to się da załatwić.

Wstał z krzesła, całkiem żwawo jak swój wiek, i podał mi wizytówkę, na której widniał wizerunek Orderu wraz z adresem siedziby Kapituły i telefonem.

– Jeśli będzie pan miał jakieś informacje albo pytania, proszę o kontakt. Pomożemy najlepiej, jak będziemy mogli.

– Oczywiście. Jak rozumiem, czas gra olbrzymią rolę. Czy macie już jakieś przypuszczenia, kto może być odpowiedzialny za kradzież?

– Niestety nie.

– Chciałbym odwiedzić siedzibę Kapituły. Kiedy będzie to możliwe?

– Chociażby i jutro. O której godzinie pana oczekiwać?

– Przypuszczam, że około dziesiątej.

– Znakomicie. Naprawdę się cieszę. – Potrząsnął jeszcze raz swoją ręką. – Pan pozwoli, tymczasem się

pożegnania, mam dzisiaj jeszcze jedno ważne spotkanie, a nie jestem już młodzieniaszkiem. Odprowadziłem pułkownika wzrokiem. Odszedł w stronę parkingu. Miałem nadzieję, że ma samochód. I kierowcę. Do wyjścia z toru było daleko.

Odwrociłem się. Dziewięta gonitwa miała wystartować lada chwila, ale już mnie to nie obchodziło. Pobiegłem do kasy i wypłaciłem wygraną. Gruby plik banknotów wepchnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki i podszedłem do sklepiku, a właściwie małej restauracji, znajdującej się przy wejściu na trybunę.

- Jak tam, panie Herbercie? Walniem jakąś lornetę z meduzą? - zapytała sprzedawczyni z cwaniackim akcentem.

Uśmiechnąłem się

- Nie, późno już, a ja będę prowadzić. Sprzęt chcę odebrać.

Kobieta poszła na zaplecze i wyprowadziła moją śliczną białą hulajnogę, którą zostawiłem tu na czas folgowania nałogowi.

Uwielbiałem tor wyścigowy na Służewcu. Naprawdę. Ale żeby przedostać się przez ten cholerny teren do bramy i złapać autobus, trzeba było leźć piechotą chyba z kilometr.

Hulajnoga to był dobry zakup.

Powrót do domu zajął mi godzinę. Chciałem poczekać na autobus, ale najbliższy miał być dopiero za kwadrans, więc do stacji metra przy Wilanowskiej pojechałem na hulajnodze. Zakochałem się w tym środku transportu od pierwszego wejrzenia. Pędząc chodnikami i manewrując między pieszymi, czułem się jak miejski ninja. Lubilem reakcje mijanych ludzi, te uśmiechy, kiedy ktoś przypominał sobie dzieciństwo, ale i też oburzone spojrzenia, że dorosły facet pędzi chodnikiem jak nastolatek. Gdyby tylko wiedzieli, jak to diabelstwo trzęsie...

Metro wypluło mnie na przystanku Ratusz, skąd złapałem autobus, który dowiózł mnie prosto pod Zamek Królewski. Stamtąd - po schodach - dotarłem pod sam gmach. Minąłem go z prawej strony, okrążyłem i z Gnojeń Góry przedostałem się na ulicę Dawną, biegnącą na tyłach mojej kamienicy. Tylko raz wszedłem do domu od strony Kanonii. Kiedy postanowiłem wejść tam po raz pierwszy.

Dwa miesiące temu przyszedłem tu nocą, bardzo późno, z zamiarem wejścia do kamienicy ojca. Serce biło mi jak szalone, oddech miałem chrapliwy, a ręce trzęsły mi się ze zdenerwowania. Dzwon ominąłem, w ogóle na niego nie patrząc. Rozejrzałem się, czy w okolicy nikogo nie ma. Zbliżyłem się do frontowych drzwi i przytknąłem do nich wizytówkę ojca. Kamienica rozsunała się, tak samo jak poprzednio. Ledwo dałem radę wejść - nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Wspomnienia sprzed kilku miesięcy były zbyt świeże.

Wewnątrz zobaczyłem dwie pary schodów. Jedne stare i wysłużone, drugie zaś wyglądały, jakby dopiero co je zamontowano i dodatkowo wypolerowano. Drzwi zamknęły się za mną i poczułem lekki podmuch powietrza, bardzo delikatny. Miałem wrażenie, że coś zmieniło się w otaczającej mnie przestrzeni, ale nie mogłem ustalić, co, dopóki nie ujrzałem, że nowe schody wyginają się fantasmagoryjnie, jakby miały za chwilę zamknąć się w pętlę. Wskoczyłem na nie w ostatniej chwili i obraz wrócił do normy. Ale z tej perspektywy druga część kamienicy była wygięta, złączona jak wstęga Möbiusa, by po chwili ścisnąć się bardziej i zniknąć. Schody wypluły mnie przed samotnymi, szerokimi drzwiami. Przyjrzałem się im uważnie. Z pozoru były zupełnie zwyczajne, nie miały żadnych zdobieć, judasza czy kołatki, lecz nie zauważyłem także żadnych zamków i to upewniło mnie, że znajduję się przed mieszkaniem maga. Klamka połyskiwała zachęcająco - nacisnąłem ją powoli, a drzwi otworzyły się bezgłośnie. Na wszelki wypadek wsunąłem wizytówkę do kieszeni. Nie wiedziałem, czy jeśli przypadkiem wypadnie mi z ręki, mieszkanie nie zareaguje w jakiś niemiły dla mnie sposób.

Wszedłem do środka. Było ciemno, więc namacałem włącznik. Stałem w przedpokoju.

Pod sufitem pysznił się piękny, kryształowy żyrandol, zalewając blaskiem wszystkie kąty i odsłaniając wejścia do dwóch pokoiów po prawej stronie. Na końcu przedpokoju znajdowały się drzwi, które po niewielkim okienku zidentyfikowałem jako prowadzące do łazienki. Chyba.

W mieszkaniu panowała absolutna cisza, a moje kroki tłumił gruby dywan. Czułem się nieswojo. Obawiałem się, że Schrödinger ciągle może korzystać z tego lokum.

Pierwszy z pokoiów, który ze względu na zalegające wszędzie książki nazwałem biblioteką, był olbrzymi. Po obu stronach stały wielkie szafy z półkami uginającymi się od literatury. Niekoniecznie magicznej, sądząc po kilkudziesięciu tomach Dzieł zebranych Lenina. Były wśród nich pozycje wydane – sądząc po okładkach – zupełnie niedawno, ale też grube, oprawione w skórę tomy. Brak jednolitości i jednorodności zbiorów powodował, że pokój nie robił wrażenia gabinetu dżentelmena. Na myśl przychodził raczej papuzi wygląd półek miejskiej biblioteki. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość – książki zostały ułożone alfabetycznie i było ich cholernie dużo.

Po przeciwnej stronie, pod oknem, znajdowało się ciemne biurko, na którym również leżało kilka książek lub notatników, a obok pochylała się stara lampka. Z lewej strony, pomiędzy szafkami, mieściły się drzwi, prowadzące do kolejnego pokoju. O ile mogłem się zorientować, można było się do niego dostać również z przedpokoju. Dobrze rozwiązanie. Wszedłem i zapaliłem światło.

Przyszło mi do głowy, że biblioteka musiała także pełnić rolę gabinetu ojca, bo drugi pokój na pewno nim nie był. Miał podobny rozmiar – jakieś sześć na dziesięć metrów – ale służył raczej do wypoczynku. Żyrandol na suficie uznałem za starszego brata tego z przedpokoju. Niestety, w przeciwieństwie do tamtego nie działał. Pokój rozświetlały kinkiety, rozmieszczone w równych odstępach pod zawieszonym wysoko sufitem, typowym dla starego budownictwa. Znowu – miękki i puszysty dywan pod nogami, kanapa, dębowy stół, dwa fotele, narożnik, mniejszy stoliczek, kilka obrazów (w tym jakaś bitwa, a z drugiej strony klasyczne landszafty) i stojący w rogu zegar. Ten zaciekał mnie najbardziej – wyglądał na antyk. Przez szybę dostrzegłem zdobione, nieruchome wahadło i dwie długie przeciwwagi.

Usłyszałem cichy dźwięk, jakby trzaśnięcie dobiegające z przedpokoju. Skoczyłem tam w dwóch susach. Byłem gotowy do walki, serce łomotało, a żołądek zwinął się w kulę.

Drzwi do mieszkania zamknęły się. Ale nie wpadłem w żadną pułapkę, po prostu uruchomił się mechanizm samozamykający; to jego dźwięk usłyszałem. Odetchnąłem z ulgą.

Miałem dosyć wrażeń na dzisiaj. Wszedłem. Pierwsze oględziny wykazały, że nikt tu nie mieszkał i prawdopodobnie też nikt nie wpadał z odwiedzinami. Tylko na taką diagnozę pozwoliły mi skołatane nerwy.

Na klatce zauważyłem, że schody znajdują się po dwóch stronach korytarza. Przeszedłem tymi z prawej. Coś mnie tknęło i poszedłem w lewo, by dotrzeć do niewielkich drzwi, wąskich na tyle, że mógłbym zaczepić barkami o framugę. Otworzyłem je i ponownie zobaczyłem pogięty, zwinięty w supeł świat. Zrobiłem krok do przodu, a wtedy wszystko wywinęło koziołka i rozplątało się. Ten widok sprawił, że zaboląła mnie głowa.

Wszedłem na Dawnej - krótkiej uliczce, biegnącej obok kamienicy i prowadzącej na Gnojną Górę. Zrozumiałem, że do mieszkania prowadziły dwa wejścia. Jedno - od Kanonii - w postaci rozstępującej się kamienicy, mało dyskretne. Jeśli ktoś akurat znajdował się na placu, trudno było dostać się tam swobodnie, bez wzbudzania sensacji. Drugie, którym właśnie wszedłem, zostało umieszczone w wąskim przejściu z boku kamienicy. Dzięki niemu ojciec mógł wchodzić i wychodzić, pozostając niezauważonym, a przynajmniej nie rzucając się zanadto w oczy. Postanowiłem wrócić następnej nocy, żeby dowiedzieć się więcej.

Wracałem kilkakrotnie, zanim udało mi się oswoić z mieszkaniem. I jemu ze mną.

Stałem przed wąskimi drzwiami do kamienicy. Hulajnogę przytrzymałem stopą i przytknąłem do framugi wizytówkę. Tym razem już własną - karta mojego ojca już by tutaj nie zadziałała. Musiałem stworzyć własne zabezpieczenie, na wypadek, gdyby ktoś jeszcze posiadał „klucz”.

Drzwi otworzyły się, a ja wszedłem, ciągnąc za sobą hulajnogę. Kiedy wbiegłem na górę i wszedłem do mieszkania, przywitał mnie skowyt Zezela, który, wygięty nad biurkiem, machał pięścią w stronę monitora.

- Znowu mnie przebił ten cholernik! Już drugi raz! Niech go szlag trafi, niech mu się twarżel spali i niech mu Internet odłączy! Niech go komornik z kimś pomyli!

Zrozumiałem, że znowu przegrał jedną ze swoich aukcji i teraz wygłaszał listę życzeń pod adresem konkurenta. Powiesiłem płaszcz w przedpokoju, zdjąłem buty i wszedłem do salonu.

- Co tam? - rzuciłem. - Znowu przegrałeś?

Zezel wyburczał parę słów, głównie niecenzuralnych, i odsunął się od biurka.

- Nie dadzą zarobić człowiekowi - zajęczał w udawanym bólu. - Zawsze pod wiatr.

Nie wzruszył mnie zupełnie, wiedziałem, że radzi sobie całkiem nieźle, a te kilka niepowodzeń, które go ostatnio spotkały, nie mogły przyćmić pasma sukcesów. Miałem wrażenie, że sprzedawał więcej gratów, niż kupował. To dopiero była prawdziwa magia.

- Nie jęcz, nie jęcz - powiedziałem. - Nie zbiedniejesz przez to. Co przegrałeś?

- Amulet. Duperel taki, ale jakbym go trochę podrasował, to opchnąłbym go ładnie znajomemu wikkaninowi.

- Aha. Idę na górę coś zjeść.

Zezel chyba mnie już nie słyszał, bo znowu gapił się w monitor i klikał zawzięcie myszką.

Kiedy się tutaj wprowadziłem, postanowiłem zmienić parę rzeczy w wystroju, ale ciągle opóźniałem tę decyzję, aż w końcu zostawiłem wszystko, jak było. Żeby przed samym sobą usprawiedliwić swoje lenistwo, przestawiłem trochę biurko w salonie. Naprawdę niezły wyczyn.

Jednak najważniejsze było odkrycie, że mieszkanie ma jeszcze jedno piętro. Nie wiem, jak mojemu ojcu udało się to wszystko zbudować i jakiej magii użył, ale sam dom - oprócz tego, że ukryty - miał nieźle pokręconą topografię. Na parterze znajdowały się: łazienka, salon i biblioteka z gabinetem ojca. Z przedpokoju można było przejść zarówno do salonu, jak i do gabinetu. Przejście łączące oba pokoje pozwalało przemieścić się w jednym kierunku: z gabinetu do salonu. Przejście w drugą stronę przenosiło na piętro, do pokoju, który sobie zawłaszczyłem jako pracownię. Z niego mogłem wejść do kuchni, łazienki oraz mniejszego pokoju, który był sypialnią. Przejście z sypialni prowadziło jednak prosto do łazienki. Aby zejść z powrotem na dół, musiałem skorzystać z przejścia w pracowni. Nie wiem, czy to ustawienie miało jakiś specjalny sens dla ojca, może pracował w ściśle określonym rytmie i takie połączenie pozwalało mu swobodnie się poruszać po mieszkaniu. Dla mnie było na początku straszliwie irytujące i pokręcone. Poza tym w całym domu tylko łazienki miały drzwi. Wszedłem do kuchni i zajrzałem do lodówki. Znalazłem resztkę mleka. W chlebaku pozostały jedynie okruszki. Rozeźlony, wróciłem na dół.

- Wszystko zeżarłeś?

Zezel odwrócił na chwilę głowę od komputera i zrobił przeproszącą minę, jednak niezbyt przekonującą.

- Tak, przepraszam, miałem wyjść i zrobić zakupy, ale przyszła Anna i hm... też trafiła na ten problem i zaproponowała, że jednak ona pójdzie.

- Żarłok - powiedziałem, ale bez złości.

- E tam, nic prawie nie było.

- Jak ty to robisz, że tyle wciągasz i nie tyjesz?

- Dużo się ruszam.

- Chyba palcami na klawiaturze.

Wzruszył ramionami i pokazał mi na komputerze jakiś licznik.

- Przejechałem dziś trzy kilometry myszką.

- Jesteś szurnięty - zaśmiałem się.

Rzuciłem się na kanapę. Zegar tykał miarowo, lubiłem ten dźwięk. Pełne godziny obwieszczał głębokim biciem, co podobało mi się mniej, zwłaszcza w nocy. Ale przywykłem.

Kilka dni po śmierci Melanii, kiedy wypilem, czy może raczej: wychlałem już wszystko, co miałem w domu i doszedłem do siebie, poszedłem odwiedzić Zezela.

Bał się mnie wtedy. Pamiętam ten strach w jego oczach, ale jeszcze jakąś pokorę i żal. Był załamany. Ale ja nie przyszedłem przecież się mścić. Przypuszczałem, kto stał za tym wszystkim, a on tylko potwierdził moją teorię.

Przypomniałem sobie wydarzenia sprzed kilku miesięcy.

Ktoś zamordował sąsiadkę Zezela podczas poszukiwania czegoś cennego. Policyjne śledztwo utknęło w martwym punkcie, ale ja obstawiałem nie Schrödingera, a Bractwo Miast.

Moja teoria była taka: wysłannicy Bractwa dowiedzieli się, że Zezel wszedł w posiadanie skradzionego miecza katowskiego i próbowali go odzyskać. Włamali się. Nakryła ich sąsiadka, wścibska staruszka, a może babcina zaufana koleżanka – tak czy siak zamordowali ją, po czym uciekli. Myślę, że Zezel miał trochę szczęścia, że nie dopadli jego – w końcu był w domu.

Spanikowany, powierzył mi swoje rzeczy. Zapewne ktoś go obserwował – i w ten sposób Bractwo dowiedziało się o moim istnieniu. Sprawdzili, kim jestem. Potem uznali, że skoro miecz został przekazany mnie, z łatwością go sobie odbiorą.

Tamtego dnia Zezel zgłosił się na policję, kiedy tylko ode mnie wyszedł. W końcu przez chwilę był nawet podejrzanym w sprawie zabójstwa sąsiadki.

Do domu wrócił późno. Co prawda policjanci go znali, gdyż Podkowa Leśna to nieduże miasto, więc jego alibi sprawdzono „na poczekaniu”, ale zajęło to mimo wszystko trochę czasu. Czynności śledcze na miejscu przestępstwa również się przeciągnęły i kiedy Zezelowi oraz jego babci pozwolono wreszcie wejść do mieszkania, chłopak poszedł od razu spać.

- Byłem wykończony – opowiadał. – Tylko podłączyłem telefon do ładowarki, bo padła mi bateria, i od razu na ryj do łóżka. Nie wiem, ile spałem, krótko jakoś. Godzinę? Dwie? Obudziło mnie chrobotanie, naprawdę dziwny dźwięk, takie trzaski, chrupanie, niby niegłośne, ale narastające. Trochę jak stukanie w klawiaturę. Otworzyłem oczy i myślałem, że nadal śnię. To był jakiś koszmar. Przez otwarte okno do pokoju wsypywały się robale. To, co mnie obudziło, to był odgłos tysięcy małych nóżek i pancerzy robactwa, którego nie potrafiłem, a nawet nie chciałem nazwać. Stary, prawie zrobiłem w gacie! Ale nie to było najgorsze. Te wszystkie robale zlały się w jedną masę. Nagle z tego kłębowiska wysunęły się ręce, nogi, głowa – no, cały facet powstał. Chciałem uciec, ale złapał mnie za gardło i popchnął z powrotem na łóżko.

- To był stworzenie Schrödingera – powiedziałem wówczas Zezelowi. – Widziałeś coś takiego u mnie w akwarium. Ten był większy i potężniejszy.

- Stworzenie-srozeniec – odparł chłopak błyskotliwie. – Bałem się jak cholera. A facet mówi do mnie:

- *P posiedzę tu z tobą dziś w nocy. Będziesz musiał wykonać pewne zadanie. Gdy nadejdzie czas, pojedziemy.*

Pierwsza moja myśl – wariat. Ale potem refleksja, że ten wariat zjawiał się u mnie w domu pod postacią robactwa. Pomyślałem, że może to ja zwariowałem. A facet mówi dalej, jękając się charakterystycznie:

- *Masz m miecz. Weźmiesz go. Z nikim nie będziesz rozmawiał.*

Zapewniłem go, że oczywiście, z nikim.

- *Ta k kobieta na d dole. Chcesz, żeby żyła dalej, p prawda?*

No i zrozumiałem, że mam trzymać gębę na kłódkę, bo inaczej spotka mnie i babcinę coś bardzo przykrego. A on dalej tak siedział bez ruchu. Próbowałem coś zagadywać, ale milczał jak grób. W końcu, nie mając nic innego do roboty, przysnąłem trochę. Wiesz, taki przerywany, ciężki sen. Nagle facet mnie budzi i mówi:

- *Jedziemy. Weź miecz.*

Wyciągnąłem miecz z kryjówki i zdążyłem jeszcze złapać telefon, kiedy chwycił mnie za kark i poprowadził do samochodu.

Kiedy jechaliśmy do Warszawy, włączyłem komórkę. Zadzwoń. Ale oczywiście nie mogłem ci o niczym powiedzieć. Ten typ prowadził samochód i nie patrzył na drogę, tylko na mnie. Przez cały czas naszej rozmowy trzymał mnie za kark. Wydaje mi się, że zaskoczyłem go tym, że zdążyłem odebrać telefon, i już tylko pilnował, czy aby nie powiem czegoś, po czym będzie zmuszony urwać mi

głowę. Zacząłem kombinować, jakby ci przekazać jakąś wiadomość, jakieś zaszyfrowane wołanie o pomoc. No i wymyśliłem, ale się rozłączyłeś.

- Co? - wybałuszyłem oczy.

- No, tak sobie ułożyłem w głowie... Ty przecież wiesz, że moja babcia jest cholernie zdrowa i nic jej nie dolega. Nieraz ci przecież o tym wspominałem. No i powiedziałem do słuchawki: „Cholernie ekspresowo leki przyjęła”.

Pomyślałem chwilę i roześmiałem się głośno.

- „CHELP”? Wysłałeś mi komunikat „CHELP”? Przez „ce-ha”?

Zezel też zaczął się śmiać.

- Wiesz, jak trudno coś takiego wymyślić pod presją?!

Łzy pociekły mi z oczu.

- Nie wiem, stary, chyba bym się nie domyślił, ale już wtedy cię nie słuchałem, przepraszam.

Opowiedziałem mu całą historię.

Nie mam chłopakowi nic do zarzucenia. Czy będąc w jego sytuacji sam zachowałbym się inaczej?

Teraz leżałem rozciągnięty na kanapie, zerkałem mu przez ramię, i od czasu do czasu docinałem, kiedy coś mnie rozbawiło.

- Znowu gołe panienki oglądasz? Powinieneś jednak znaleźć sobie dziewczynę.

Zezel się zaczerwienił, ale odparł z godnością:

- Nieprawda, robię coś innego, ale teraz wszędzie się wpychają reklamy z gołymi laskami.

- Chyba spytam Annę, czy może ma równie ładną młodszą siostrę.

- Nie mam. - Usłyszałem głos Anny, wchodzącej z zakupami do pokoju. - Ale miło wiedzieć, że uważasz mnie za na tyle atrakcyjną, żeby polecić mój typ urody koledze.

Nastała moja kolej, żeby nieco spąsowieć. Chciałem coś odpowiedzieć, ale dziwnie zabrakło mi słów.

- Ale właściwie to nie wiem, czy mnie nie obrażasz tą „młodszą” - dodała. - I może ktoś mi pomoże z tymi siatami? Dżentelmeni, heloo!

Zerwałem się i odebrałem od niej reklamówki.

- Dzięki za zakupy - mruknąłem, ciesząc się ze zmiany tematu. - Zezel, głodomorze, podobno faceci to najlepsi kucharze, więc pozwólmy Ani odpocząć, a sami coś upichcimy.

- Shit! - syknął Zezel z udawaną niechęcią.

- Tego akurat nie mamy - odpowiedziałem, z namaszczeniem przeglądając zakupy i kierując się w stronę przejścia do kuchni. - Ale jeśli poczekaasz, to może po kolacji...

- Spadajcie! - Anna zatkała uszy i rzuciła się na kanapę, dokładnie tak samo jak ja przed chwilą.

Zezel wstał i podał dziewczynie pilota, którego skwapliwie chwyciła i natychmiast włączyła telewizor.

Siedzieliśmy przy stole w kuchni i jedliśmy kanapki. Plan przewidywał co prawda spaghetti, ale Zezel przesolił makaron, a ja przypaliłem sos. Anna stwierdziła, że to nawet dobrze, bo nie będziemy się opychać na noc tłustym żarciem, było mi jednak głupio. Kanapki wyszły całkiem niezłe - no ale raczej trudno schrzanić kanapki.

- Udało wam się coś znaleźć? - zapytałem, chociaż znałem odpowiedź.

We trójkę usiłowaliśmy namierzyć schronienie Schrödingera, ale do tej pory bezskutecznie. Zezel, mający kontakty w świecie okultyzmu, nie zdołał nic odnaleźć. Fakt, że szukał głównie przez Internet, ale właśnie w tym był najlepszy. Anna z kolei używała bardziej tradycyjnych kanałów: portret pamięciowy i kumple policjanci. Również bez rezultatu.

Gdyby coś odnaleźli, na pewno chcieliby mnie o tym poinformować.

Tak jak się spodziewałem, pokręcili przecząco głowami.